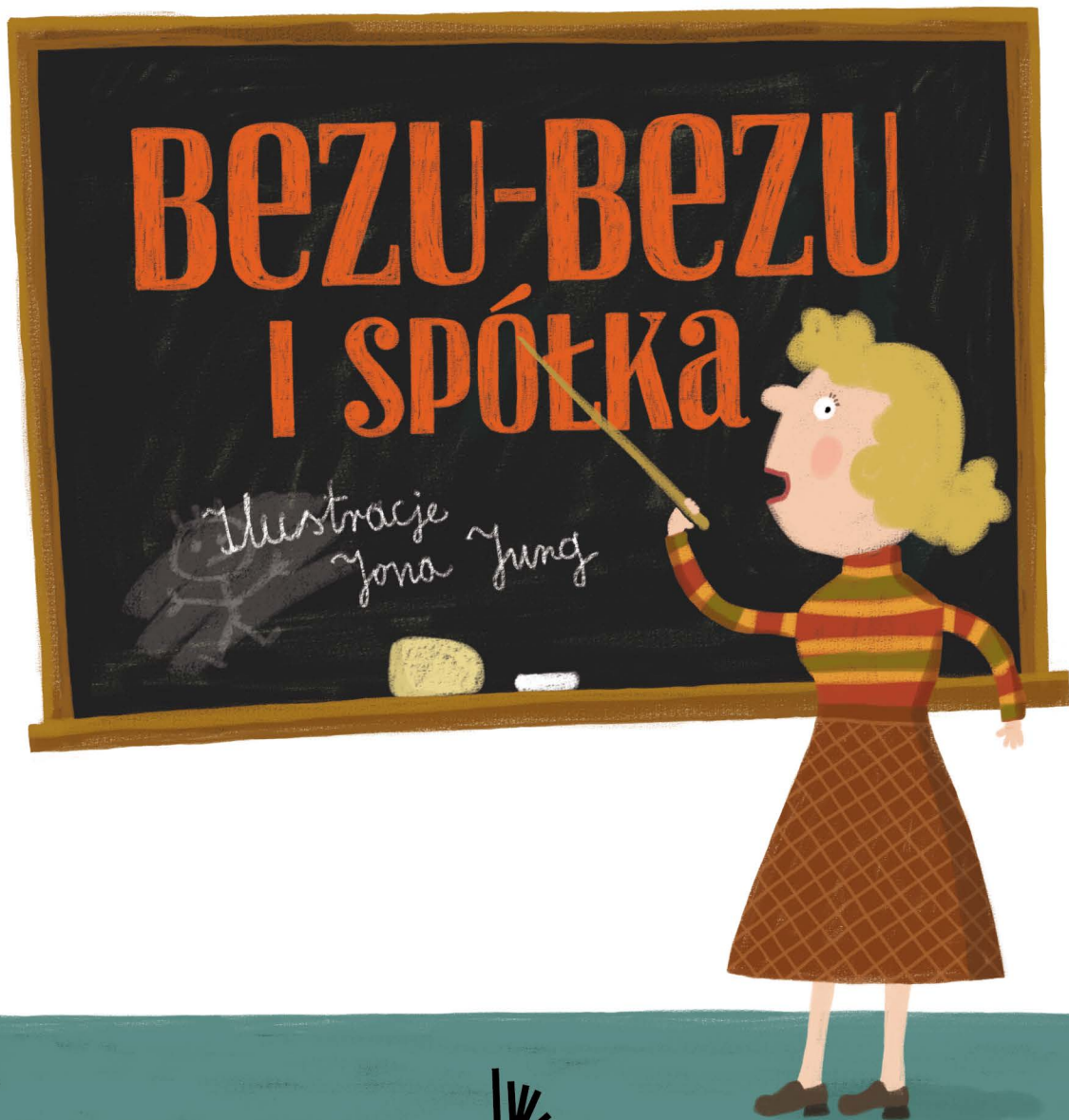
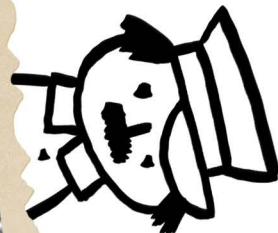


GRZEGORZ  
KASDEPKE

# BEZU-BEZU I SPÓŁKA

Ilustracje  
Jona Jung





# DRODZY CZYTELNICY,

gdy pytanio mnie w dzieciństwie, kim zostanę w przyszłości, odpowiadałem, że mężem mojej mamy – choć nie bardzo wiedziałem, co zrobić z tatą. Tata był fajny. Aby więc nie robić mu konkurencji, zdecydowałem, że będę: czołgistą, konduktorem, taksówkarzem, podróżnikiem, myśliwym, wynalazcą, a jak się uda, to i Indianinem.

– Musisz coś wybrać – powiedział wtedy mój przyjaciel Bodzio.

– Dlaczego?! – zasapałem ze złością.

– Nie można być i tym, i tym, i tamtym – wytłumaczył.

– Bo co?!

– Bo pstro!

I oczywiście doszło do bójki – która zakończyła się dopiero wtedy, gdy pani wychowawczyni postawiła nas w przeciwległych kątach sali. Stojąc tam, doznałem olśnienia...

– Zostanę pisarzem! – wrzasnąłem do Bodzia. – I napiszę o czołgistach, konduktorach, taksówkarzach, podróżnikach, myśliwych, wynalazcach, a także o Indianach!



– Wcześniej jednak – wtrąciła pani wychowawczynie – napiszesz sto razy: „Nie będę wydzierał się na lekcji”.

Tak bardzo rozbawiło to Bodzia, że pani wychowawczynie kazała mu napisać sto razy: „Nie będę rżał jak koń, stojąc w kącie”.

– O Indianach to łatwizna – oświadczył siedzący pod oknem Żuczek. – Napisz o mnie.

Pani wychowawczynie kazała mu sto razy powtórzyć w zeszycie: „Nie będę odzywał się niepytany”.

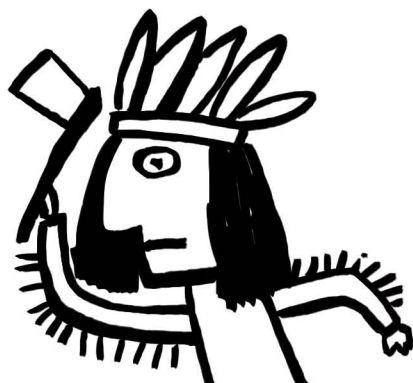
– Lepiej o mnie! – zawołał z końca sali Bezu-bezu.

– A czemu nie o mnie?! – obruszył się Krzysiek Olechno.

Dziesięć sekund później pani wychowawczynie kazała pisać wszystkim po sto razy: „Nie będziemy zachowywali się jak oszalałe dzikusy”.

Nie pamiętam już końca tamtej lekcji, w ogóle coraz mniej pamiętam – ale jak na pisarza przystało, zalepiłem dziury we wspomnieniach zmyślonymi historiami. Ciekawe, czy czytelnicy je odnajdą...

*Grzegorz Kasdepke*



# PiERWSZY dzień w szkole



Nieczęsto się zdarza, że autor opowiadania jest równocześnie jego bohaterem, a tak będzie właśnie w tym przypadku. Obiecuję jednak, że zamiast o dorosłym Grzegorz, opowiem o niedorosłym Grzesiu. W tym celu wyjmuję z szafy prywatny wehikuł czasu (pudło ze zdjęciami) i cofam się w myślach o prawie czterdzieści lat.

Nad wejściem do szatni w mojej szkole wisiał napis: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”. Prawdę mówiąc, gdybym umiał go odczytać, uciekłbym z lekcji już pierwszego dnia. Ale czytać nie umiałem. Napis był po prostu zbiorem tajemniczych literek – dowiedziałem się później, że tak naprawdę dotyczył nie szkoły, lecz wojny. Odczytała go nam nasza pani, pani Płonowska.

– Okropieństwo – wzdrygnął się Krzysiek Olechno. Miał doskonale okrągłą głowę i siedział ze mną w jednej ławce.

– Wojna czy szkoła? – zapytałem.

– Jedno i drugie.

W pełni się z nim zgadzałem. Co tydzień zapędzano nas do sali gimnastycznej na apele przeciwko wojnie, a ani razu

nie zorganizowano apelu przeciwko szkole. Uważaliśmy to za niesprawiedliwe. Trzeba jednak przyznać, że pani Płonowska robiła wszystko, aby lekcje zaczęły nam się podobać.



Najbardziej lubiłem stać w kącie. Lubiłem też wycierać tablicę i chodzić do pani woźnej po kredę. Nie lubiłem za to czytać, pisać i liczyć.

Każdego dnia na pytanie mamy, co było w szkole, niezmiennie odpowiadałem: „Nic”. Mamę trochę to niepokoiło. No bo ile można robić „nic”, prawda? Na szczęście któregoś razu uspokoiłem ją informacją, że pani czytała nam „Świerszczyk”. Takie pismo dla dzieci.

– Naprawdę? – ucieszyła się mama. – Czytałam je, gdy byłam mała.

Babcia zareagowała podobnie.

– Naprawdę? Czytałam „Świerszczyk” mojej chrześnicy tuż po wojnie.

Dziadek wprawdzie „Świerszczyka” nie czytał, ale jako wielbiciel przyrody i znany działkowiec opowiedział mi o zwyczajach świerszczy domowych.

Następnego dnia podzieliłem się zdobytą wiedzą z Krzyskiem Olechno. Był pod dużym wrażeniem.

– Naprawdę? – kręcił okrągłą głową. – Samce grają na skrzypcach, żeby poderwać samice?

– Na skrzydłach, a nie na skrzypcach – sprostowałem niechętnie. Również wolałbym, aby były to skrzypce.

Krzysiek zamyślił się.

– A właściwie po co? – zapytał.

– Co po co?

– Po co je podrywają?





– Żeby mieć dzieci – wyjaśniłem.

Krzysiek skrzywił się. Widać było, że uważa świerszcze za głupie. Ja uważałem je za okrutne. Samice rodzą dzieci, a potem te dzieci dorastają i na pewno muszą iść do szkoły. Biedne maleństwa!

Od tamtego dnia minęło prawie czterdzieści lat. Wiele z nich spędziłem, mażąc zeszyty i ślęcząc nad podręcznikami. Każdego dnia na pytanie mamy, co było w szkole, odpowiadałem: „Nic” – a przecież umiem dzisiaj pisać, czytać i liczyć. Wiem też z lekcji przyrody, że małe świerszczyki nie chodzą do szkoły. A z lekcji polskiego, że w „Świerszczyku” są opowiadania, z których można się nieźle pośmiać.

Dzisiaj sam takie piszę.



**D**ziało się to w czasach, kiedy ludzie nie wysyłali sobie maili, tylko listy – a ja byłem jeszcze smarkaczem.

– Zobaczycie – wieszczył Bezu-bezu, mój klasowy kolega – z tej nauki pisania i czytania nic dobrego nie będzie.

Bezu-bezu tak naprawdę nazywał się Bezubicki, ale nawet nauczyciele czasami o tym zapominali – i to nie tylko przez nazwisko. Ilekroć Bezu-bezu pochylał się nad zeszytem, natychmiast zaczynał nucić melodię z popularnej wówczas kreskówki o korniku. Brzmiało to mniej więcej tak: „Beeezu-bezu, bez-bez-bez!”.

– Tak myślisz? – zmartwił się Żuczek.

Żuczek zawdzięczał swoje przezwisko niskiemu wzrostowi i upodobaniu do kolorowej, nazbyt dużej kurtki, która przypominała mieniący się barwami chitynowy pancerzyk owada.

– Dlaczego nie będzie nic dobrego?... – spytałem. Wprawdzie wolałem rysować szlaczki niż literki, jednak jakieś tam pożytki z nauki pisania i czytania byłbym w stanie wymienić.

– Zobaczysz! – powiedział Bezu-bezu.

Nic więcej nie byłem w stanie z niego wydobyć.



Rok później okazało się, że miał rację. Gdy już poznaliśmy cały alfabet, duże i małe literki, wszystkie ce-ha, er-zet, sy-zy, zet z kropką i o z kreską, okazało się, że nasza pani wcale nie zamierza wracać do rysowania szlaczków. Teraz mieliśmy pisać wypracowania i dyktanda!

– Mówiłem?... – pytał ponuro Bezu-bezu po każdej kolejnej dwójki w zeszycie (była to wtedy najgorsza ocena).

– Mówiłeś... – potwierdzał Żuczek, patrząc z rozpaczą na upstrzone czerwonymi uwagami wypracowanie.

Mój zeszyt do polskiego nie wyglądał lepiej.

Najgorsze miało jednak dopiero nadejść.

– Dzisiaj napiszecie listy – oświadczyła nasza pani, gdy pewnego październikowego dnia zasiedliśmy w klasie. – Do ludzi, którzy walczyli podczas wojny. Że ich podziwiacie i takie tam... każdy coś od siebie. A ja je potem przekażę Związkowi Kombatantów.

– Kombatantów czy kombajnów? – chciał wiedzieć Żuczek. Co zresztą ogromnie rozśmieszyło siedzącego z tyłu Bezu-bezu.



– Kombatanci to ludzie, którzy walczyli podczas wojny – zasapała nasza pani. – Jeszcze jeden taki żart i dostaniesz dwóję!

Doszliśmy do wniosku, że z kombatantami nie ma żartów, i zabraliśmy się do pisania. Na szczęście każdy z nas oglądał wcześniej serial *Czterej pancerni i pies* – o wojnie wiedzieliśmy, w swoim mniemaniu, niemal wszystko. Wyznałem więc w liście, że bardzo żołnierzy podziwiam i że także chciałbym mieć takiego psa.



Po miesiącu nadeszła odpowiedź. Nawet pani była zaskoczona. Długo patrzyła na pękata, upstrzoną znaczkami i stemplami kopertę, a potem otworzyła ją i wyjęła kilkanaście mniejszych listów. Każdy był napisany w dziwnym języku.

– Rozumie pani coś z tego? – zatroskał się Żuczek.

– Coś tam rozumiem... – wymamrotała. – Nasz Związek Kombatantów przesłał wasze listy do Moskwy i właśnie dostaliśmy odpowiedź. Po rosyjsku.

Okazało się, że literki rosyjskie są bardzo śmieszne, zupełnie niepodobne do naszych, i że przypominają szlaczki. Nic z nich nie rozumieliśmy. Ale w jednym z listów pani znalazła rysunek. Przedstawiał wilczura – prawie takiego samego jak w serialu *Czterej pancerni i pies*!

– To chyba odpowiedź na twój list... – pani podała mi rysunek podpisany dziwnymi literkami.